JÓZEF BIRKENMAJER



ŁZY CHRYSTUSOWE

Szymon St. Deptuła

JÓZEF BIRKENMAJER

ŁZY CHRYSTUSOWE

1927

NAKŁADEM SPÓŁKI PEDAGOGICZNEJ T. A.
W POZNANIU.

Łzy Chrystusowe

Słońce ogromne, rozognione blaskiem rażącym, staczało się z wyniosłości niebios, zachodziło za krawędź widnokręgu tak powoli, jakby miało jakąś przyczynę, by się ociągać, jak gdyby je coś powstrzymywało... Snać żal mu było opuszczać tę ziemię, na której przebywało czas tak krótki, że nie zdążyło jeszcze jej się napatrzyć, ni łez wysuszyć; taki dziwny rumieniec powlekał jego oblicze, iż się zdawać mogło, iż to oblubieniec, niechętnie przymusowi okrutnemu ulegając, z oblubienicą się żegna. Ostatni pocałunek warg jego różanych spoczywał na jej skroniach, a ziemia w niemym szczęścia zachwycie oddychała urokiem i przedsenną rozkoszą. Ciało jej wdzięczne ustroiły drogocenne skarby — podarki oblubieńca: oto mieniąca zasłona, z czerwieni zórz utkana, oto złote hafty szklistych promieni, a tam dalej zwiewna oparów szata, błękitem wody bramowana — wszystko to kładło się na jej kibić, na łonie, na szyi i na włosach falistych, otaczając powabem niezwykłym tę gwiazdę błędną, która wprawdzie jest jedną z najmniejszych w gronie swych towarzyszek niebieskich, ale przez Stwórcę

pono nade wszystkie jest umiłowana i wyniesiona nad inne dzieła rąk Jego.

W godzinę tę zachodnią na szczycie jednego ze wzgórz, okalających Jeruzalem, stał Chrystus.

Pod Jego stopami ścieliła się miła oku kraina, śmiejąca się pogodą łąk i pól. Świeża zieleń nigdy nie więdnących krzewów bratała się z płowemi kępami niw, pokrytych obfitością zbóż wszelakich; gdzie niegdzie pstrem umajeniem weseliły się rozkoszne sady, dalej znów rozsiadły się winnice, wonne i wdzięczne. Gaje palmowe przytuliły się do srebrnej rzeki, która w dalszym biegu zraszała rozległe błonia, tonące w kwieciu. Kędyś znowu ciągnęły się białe wstęgi dróg, wysadzane po bokach sykomorami, na drogach zaś widać było powracające trzody srebrnorune, to zbijające się w zwartą gromadę, to rozlewające się szeroko, niby ślimak, co pełzając, to kurczy się, to rozkręca, za każdym razem zmieniając postać i rozmiary. Koło sadzawki, dokąd je pędzono, rozpanoszyły się nagie poszarpane skały.

Jeruzalem, zamknięte dokoła krasą swego otoczenia — niby obraz ujęty w rzeźbione obrzeża — piękne było nad wyraz, piękne było jak marzenie senne. Białe rzędy domostw, rozsypanych tu i owdzie, gdzie indziej niby w rów-



W godzinę tę zachodnią na szczycie jednego ze wzgórz, okalających Jeruzalem, stał Chrystus

niankę białego kwiecia się splatające, usadowiły się na równinie i na szczycie Morjah i u podnóża Syjonu, dźwigającego warowną świątynię.

Świątynia, świetnością się pysznicąca i stercząca pośród niskich, skromnych mieszkań człowieczych niby władca między poddanymi, ciskała na wszystkie strony hojną dłonią dań ze srebra i złota. Jako dziecię, kąpiące się w rzece, rozpryskuje dla igraszki wodę w drobniuchny pył, połyskujący barwy tęczowemi, tak pozłacany szczyt Pańskiego przybytku rozpraszał dokoła siebie migotliwe promienie słońca, spadające nań ulewą. Dach cały jarzył się niezwykle, kruszcowa jego powłoka zdawała się topić i rozpływać, jakby tam z pod niej, gdzieś z wnętrza, wydarł się płomień ogromnej obiaty ku czci Pana niebios.

Lecz Chrystus, Pan niebios, nie radował się snać z całopaleń owych. Albowiem spoglądał na miasto tak żałosnym, tak współczucia pełnym wzrokiem, jakby rozpamiętywał coś strasznego lub niepokojącego. Dziwna litość nieziemska, nadludzka przebijała się w tych modrych oczach, w tych licach hożych a pociągłych, na czole wysokiem, okolonem zwojami jasnych kędziorów, z któremi zabawiał się swawolny wietrzyk.

Uczniowie, siedzący opodal, odgadnąć nie mogli przyczyny tego smutku i spojrzenia, miłości pełnego, jakiem obrzucał Chrystus gród Dawidowy. Ich myśli były przedsię odmienne: boć jakimś bezgranicznym zachwytem, uwielbieniem i chlubą napawał ich wspaniały wygląd stolicy i królewska dostojność świątyni. Dziwowali się tedy Panu swemu, wpatrując się z niespokojną ciekawością w Jego oblicze.

— Nauczycielu! — ozwał się jeden z nich — azali nie olśniewa cię potęga warownych murów stolicy, okazałość i przepych domu Bożego? Wieki całe je stawiały — wieki też przetrwa Jeruzalem i stać będzie po latach, zawsze potężne, niezniszczalne, ogromne. Pojrzyj, z jakich to ciosów olbrzymich ułożone są obronne ściany miasta; ponoć nie zburzy ich nieprzyjaciel żaden, nie rozwali ich grom ni trzęsienie ziemi, nie skruszy ich gryzący ząb czasu.

Mistrz zwiesił piękną głowę na piersi — widocznie ważył te słowa. Po chwili milczenia znów się wyprostował, a usta jego zadźwięczały skargą nieutuloną, żałosną:

— Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, nadejdzie czas, iż z tych wyniosłych budowli kamień na kamieniu nie pozostanie. Wtargnie najezdnik srogi i mocny z obcej krainy i wszystko w gruz i perzynę obróci, a synów tej ziemi, jako

brańce, na kraj świata pożenie. I nie będzie miał kto użalić się nad opłakaną dolą narodu mojego, nie będzie miał kto uprawić zagonów, które dotąd plennym urodzajem słynące, stać odtąd będą pustką i odłogiem!

Tu powstrzymał swą mowę — po chwili, zwróciwszy znów oczy ku stolicy, jął przemawiać z targającym wyrzutem:

— Jeruzalem, Jeruzalem! wielekroć to chciałem zgromadzić twą dziatwę w objęciach moich! Aleś mnie odepchnęła, wzgardziłaś mną, córo zapamiętała... Przeto i ja tobą pogardzę, gdy nadejdzie dzień upokorzenia twego.

Wzruszenie nie pozwoliło mu dłużej przemawiać; lecz o wiele wymowniejsze od słów były te łzy Jego, które z pod powiek Mu wytrysły i rzęsiście sypać się poczęły na zioła, na murawę...

Przyroda cała niejako współczuła z Panem swym, gdyż widząc płacz Jego, przybrała wyraz bezmiernej żałości i smętku. Słońce, jasne dnia oko, schowało się za wzgórz sinych krawędzie, na szerokiej obręczy świata kładła już dłoń chłodną ciemność zasępiona, rozwłóczyła tu i owdzie pajęcze tumany, przyoblekała wszystko w całun jakiejś beznadziejnej tęsknoty, jakiejś bezwładności i żalu...

Tchnienie wieczornego chłodu, musnąwszy skronie Zbawiciela, przebudziło go z zadumy.

— Już nam czas pomyśleć o spoczynku — odezwał się do towarzyszy. Zatem podnieśli się i poczęli zstępować z góry Oliwnej.

Jeden tylko Judasz nie powstał i nie poszedł z nimi, ale siedział jak przykuty. Na czole kreśliły się mu jakieś poważne myśli, jakieś przeczucia trapiące duszę. Może żal mu było, że to miasto wkrótce wpadnie w obce ręce, a nadewszystko, że skarby, których i setna część zrobiłaby go, Judasza, bogaczem, staną się łupem zwycięzców? Bo Judasz chciwy był na pieniądze i każdemu ich zazdrościł — więc w tej chwili myślał, iż o wiele byłoby lepiej, żeby to jemu oddano te skarby, zamiast żeby miały leżeć bezużytecznie, aż je z krwią obywatelską rzuci się pod nogi Rzymian... A zresztą może nie o tem myślał on w tej chwili, lecz przypominał sobie słowa sługi Annaszowego, który opowiadał, że pan jego wynagradza go często srebrnikami za lada usługę — podczas gdy on, Judasz, za trzy lata służby u Mistrza tylko tyle uzbierał groszy, ile niekiedy z żebraniny wśród zwolenników otrzymał? A może tylko czekał na kogoś, z kim mógłby jakiś targ pokątny załatwić? Niewiadomo — bo i któż zdoła odczy-

tać myśli tak ciemne i ponure, jako ten mrok, spowijający przestworza od końca do końca?

Kiedy podniósł źrenice, by skroś gęstniejącą noc dopatrzeć śladu odchodzących — dziwny blask oślepił nagle jego źrenice... Patrzył i oczom nie wierzył... Na jawie-li to widzi? czy go nie mami urojenie?... Przed nim, na trawie, leżał rozsuty pokład drogich kamieni i migotał, jak oczy uwodzicielki!...

Żądza odezwała się w sercu Judaszowem, oczy mu zalśniły nadzieją, że stanie się oto bogatym, jak sam Annasz!... Bogatszy nawet od Annasza! Przecież to skarby, jakich świat nie widział! Tyle, tyle ich tu błyszczy! Kto je przeliczy! Skończyły się dni Judaszowej nędzy! Zdjął z ramion mieszek, gdzie nosił datki, składane przez lud pobożny dla Mistrza i uczniów, którzy byli ubodzy, a trudząc się przez dzień cały nauczaniem, nie znajdowali czasu na staranie się o dobro ciała. Z gorączkowym pośpiechem począł do mieszka zgarniać owe lśniące okruszki, szydząc w myśli z prostaczków, którzy tu byli i nie dostrzegli skarbu, tuż u nóg leżącego. Napełniwszy sakwę, zarzucił ją przez barki i szybkim krokiem jął podążać w stronę miasta.

Szedł tak dość długo, ale, w miarę jak szedł, ogarniało go coraz większe, niedające się

wytłumaczyć zmęczenie, które utrudniało mu chód, a później wprost uniemożliwiało.

Zdało się Judaszowi, jakoby wór, dźwigany na plecach, coraz to pęczniał i rósł i ciężał, nareszcie przybrał w jego wyobrażeniu rozmiary góry Oliwnej. Judaszowi poczęło brakować tchu, włosy mu zjeżyły się na głowie, pot rzęsisty zwilżył czoło. Zrzucił więc brzemię i, usiadłszy pod smokowcem, począł oddychać głęboko.

Wytchnąwszy powstał i z wysiłkiem podjąwszy skarb swój, ruszył w dalszą drogę powolnym krokiem. Utrudzenie wzmagało się w przerażający sposób. Pot lał się już strugami ze skroni, serce mu tętniło, jak młot w kuźni. Dobywał sił ostatnich, by się dowlec do bramy miasta, ledwo już widocznej w zgęstniałej pomroce.

— Muszę tam dostać się rychlej, bo gotowi zamknąć przede mną wrzeciądze — pomyślał i wzdrygnął się, bo po rozpalonem ciele przeszło tchnienie wieczornego chłodu. Przyśpieszył więc kroku, kurczowo zaciskając w garści węzeł wymykającego mu się i wpijającego w ciało mieszka. Lecz dłużej nie mógł utrzymać: rzemyk przerwał się i skarb osunął się na ziemię.

Podniósł go skwapliwie i ladajak w tłomok go zawiązawszy, biec począł ku wrotom, ile mu siły pozwalały. O dziwo! Mieszek jakby stop-

niowo zbywał ciężaru i stawał się znów lekki, jak poprzednio. Judaszowi zdało się, że po ciele coś mu przepływa, wżerając się pod skórę i przenikając do szpiku kości. Ból począł mu doskwierać dotkliwy, jakby ogień go palił we wnętrzu. Ogarnął go jakiś szał, jakby do krwi dostała mu się trucizna. Cisnął sakwę o ziemię, a sam puścił się pędem ku miastu.

Przebiegłszy bramę, rzucił się w pierwszą ulicę. Przechodnie, snujący się jeszcze tu i owdzie, spoglądali nań w osłupieniu, jak na obłąkanego. Za mieszkaniem Zacheuszowem natknął się na Mistrza idącego samotnie: uczniów swoich wysłał bowiem naprzód, by upatrzyli mu wieczernik.

Widząc Judasza tak dziwnie zmienionego, zatrzymał go ruchem ręki, pytając:

— Synu! dokąd biegniesz i czemu twarz twoja pełna jest boleści?

I spojrzał nań tak łagodnie, iż w okamgnieniu uleczył całą mękę ucznia swojego. Ów zatrzymał się.

— Judaszu! — pytał w dalszym ciągu Nauczyciel — gdzież to masz sakwę, w której przechowywałeś mienie nasze? Albowiem trzeba będzie uiścić zapłatę gospodarzowi za wieczerzę i nocleg.

Judasz spojrzał po sobie z przerażeniem — i zawstydzony zwiesił głowę w milczeniu.

— Judaszu! — ciągnął Chrystus — aza nie pomnisz, iżem rzekł: Błogosławieni ubodzy? I czym ci nie mówił: rzuć wszelką majętność a pójdź za mną? Aleś ty głuchy był na słowa moje, boś nade mnie ukochał boga Mamona.

Na twarzy Judasza odbił się cień jakiś...

— I czy ty wiesz — mówił cicho Nauczyciel — co to za skarb znalazłeś na górze Oliwnej? Skarb-ci cenniejszy był, niż przypuszczałeś — tak cenny, iż się nim kupczyć nie godziło. Łzy-ci to moje były, łzy wylane za ludzi tysiące, a może przedewszystkiem za ciebie. Zaprawdę przyjdzie czas, kiedy i mnie samego zaprzedasz...

Westchnienie przerwało mu mowę. Szli obok siebie w milczeniu po uśpionej ulicy. Gdzieś tam zamigotały kagańczyki i rozległ się chrzęst żelaza. To szła miarowym krokiem kohorta rzymska, w stal zakuta i sama jakby ze stali. Szli na zmianę warty do zamku namiestnika.

Chrystus powiódł po szeregach smutnym wzrokiem: może przyszło mu na myśl czekające go pojmanie w ogrojcu, może zaś opłakane przezeń zburzenie miasta świętego?

I Judasz patrzył za nimi długo i w myśli coś ważył. Kiedy skręcano na drogę, wiodącą w stronę wieczernika, naraz Jezus nie obaczył przy sobie ucznia swojego. Natomiast zdawało się, jakby tam jakaś postać przemykała się chyłkiem ku domowi arcykapłana.

Świat cały otulała noc, piastunka złych ludzi...

Troickosawsk, 1917.

Wesele w Porębie

A mediæval folk legend.
Such a story as Roch might tell of a winter's night
in Boryna's cabin to the babiniec assembled there.

W karczmie u Siary dudniło wesele. Żenił się Staszek Szymota z Maryną od Głowniów — gospodarscy oboje — to też ci była muzyka a rzępolenie! Dwoje skrzypiec, basetle też i kozica, jak się patrzy — a ino! I było komu grać, bo z dwóch wsi nazłaziły się dziewuchy i parobasy — do tańca każdemu ochota! Swarnych też było dużo, ale najświarniejsi chyba młodzi oboje, a i tańcowali najlepiej, że ino stać a patrzeć! Maryna zwinna była nikiej ta ryba, co się u jazu pluskocze, a gdy się jej wstążki rozpuściły w tańcu, to tak furkotały, jak gołąb, gdy leci; myślałbyś, że wszystkim frunie nad głową. Coraz to inny ją brał, a pan młody też coraz to z inną dziewuchą wywijał... inni też coraz inne brali: wiązały się pary, to znów rozbijały, niekiedy potrącając o siebie wśród śmiechu i przytupywania i coraz to inne wymyślając obroty, skoki, śpiewanki... Hej oberek! hej krakowiak!

Podłoga drzazgi sypała, trząsł się szynkfas, a po ścianach chybotały się obrazy, jakby i świątkom pilno było w tan skoczyć! Kieliszki na stołach też podrygiwały — hej ha! hejże da-

na!... Niech wszystko tańczy, niech wiedzą, że się żeni Stach Szymota z Maryną od Głowniów!

Raz po raz parobczak z nową jakąś wystąpił śpiewką, zawadjacką, rozhukaną, a godzącą w którąś z obecnych dziewczyn. Kiedyindziej znów starzy ojcowie, mocno już w czubie mający (Siara nie skąpił wódki) przekomarzali się z sobą lub w głos chwalili młodożeńców. Swachny chichotały po kątach, a ukradkiem zerkały na parobczaków: A pódzino do taneczka!

Czasem przycichało na chwilę... i tylko było słychać brzęk kieliszków, któremi trącano się na zdrowie, lub ktoś za wiele wypiwszy, pochrapywał za stołem. Ale za chwilę znów zgiełk wybuchał. Pary się przewijały, niby owe płomyki, co zimą jeden przez drugi harcują na ognisku. Wrzało w izbie — było duszno, niemal skwarno. Twarze i oczy rozgorzały — parobcy lgnęli do dziewuch, jak ćmy do świecy. Wszędy był szum — w izbie i w głowach... A muzykusy dudlili, dobrze podochocone, jakby im ręce same chodziły — ciewy!...

Na drodze dzwonek się ozwał, zrazu daleki, potem coraz bliższy, później było słychać i turkotanie bryczki. To jechał jegomość z Pan-

jezusem do chorego. Organista siedział przed nim na koźle i dzwonkiem ogłaszał, żeby ludziska uklękli i pokłon oddali Panjezusowi, jak się należy — dyć Pan Jezus jest pan większy niż dziedzic i cysarz.

Wierzby przydrożne widać zrozumiały, kto hań jedzie, bo pochyliły czoła i jęły szeptać coś, niby swoje: „Niech będzie pochwalony". Wiater, co się przódzi ś niemi zabawiał, tera też plackiem padł na drodze, a czołem bił, a wzdychał. A ona grusza Wojtkowa, co to bez płot tak ciekawie wyziera, zasuściła, przygięła się i poczęła sypać z gałęzi bieluchne płateczki, niby te dziewczęta, co idą z kobiałeczkami kwiecia przed monstrancyją na Boże Ciało. Zasie te zboża złociste, widzi się, biegły szybkim krokiem na spotkanie, jak gromada, niosąca po dożynkach dziedzicowi chleb i sól. Wśród tych falowań przebłyskujące łany łubinu rozlewały dokoła zapach luby i słodki, niczem te kadzielnice nieszporne, a niby organy przygrywały pszczoły w Bartłomiejowej pasiece...

Jednem słowem, na głos organistowego dzwonka wszystko uniżyło się przed Panjezusem, jadącym pocieszyć kogoś w ostatniej godzinie. Ale w Siarowej karczmie nikt na to nie baczył. Wprawdzie któryś ze starszych

wyźrał przez dźwierza i chciał oznajmić hulającej gawiedzi, ale nim przeszedł próg sieni, zniemogła go gorzałka i runął, jak długi, o ziemię. Nie troszczono się o nic — wszystko było rozbawione, rozkochane, podchmielone... Muzyka rżnęła coraz raźniej i żywiej, rzekłbyś, że niebawem karczma sama kręcić się pocznie...

Wózek przejeżdżał już przed samą karczmą. Organista zaczął dzwonić z całej siły, by go ludzie usłyszeli i opamiętali się. Wielu ta i słyszało, ale co im ta do tego! wesele to wesele!... I głośniej, jakby dla zagłuszenia dzwonka kościelnego, ozwały się skrzypki i kozice i coraz zawzięciej przytupywali parobasy: Hej!-ha! hejże! ha!... Drzazgi sypały się z podłogi, podłoga leciała w kawałki, zdawało się, że się niezadługo do cna rozleci...

Nagle stało się coś dziwnego: pod tańczącymi zaczęła się kołysać ziemia, jakby karczma była łodzią, płynącą po rzece. Ale co im do tego! przecież się bawią! hej-ha! hejże dana!... To zwykła rzecz; kiedy kto ma nieco we łbie, to mu się zdaje, że się ziemia pod nim chwieje, a to tymczasem on sam nie może ustać na nogach. Wtedy niema co stać, bo się łacno obalić — lepiej tańcować, choćby karczma pod ziemię zapaść się miała!...



...organista nagle obejrzał się — i osłupiał z dziwu. Karczma pogrążyła się już w ziemi do połowy okien...

I szedł dalej pląs opętany a zawrotny z przyśpiewkami i wywijasami... Hej-ha! hej-że dana!...

Ale karczma zaczęła się naprawdę nietylko kolebać, ale nawet osuwać i zapadać w ziemię. Kiedy wózek z księdzem już odjechał kawałek drogi, organista nagle obejrzał się — i osłupiał z dziwu. Karczma pogrążyła się już w ziemi do połowy okien i coraz więcej się zagłębiała jak ta trumna, co ją na powrozach do dołu spuszczają. Organista wskazał cud ten jegomościowi.

— Kara Boża!... — szepnął zbielałemi ustami dobrodziej...

Ledwo to wyrzekł, już ponad ziemią sterczała jeno strzecha, szamocąca się, niby topielec, chcący wychynąć się ponad wodę. Za chwilę i ona znikła, a ziemia zawarła się nad nią, jak wrota piwnicy... I nic z karczmy nie pozostało, ino ze środka wydobywały się jakieś grania i wesoły śpiew i przytupywanie.

Hej! huczne to było wesele!...

Ksiądz westchnął, przeżegnał się i pojechał dalej. Za powrotem odprawił mszę żałobną i kazał na miejscu, gdzie stała karczma Siary, postawić figurę. Jeżeli kto przechodzi tamtędy i odmawia: „Wieczny odpoczynek" — wtedy usłyszeć może granie i śpiew i pląsy, niby

brzęczenie trzmieli, co gnieżdżą się pod ziemią. Bo weselnicy tańczą i tańczą — choć im już tam pono ciało od kości odpada — a skończyć wesela nie mogą... Jak powiadają starzy ludzie, będzie to wesele trwać do końca świata

Diwizjonnaja 1917.

Tr. into English by Szymon St. Deptuła.
Publ. in The New American, a Chicago monthly,
& in Kuryer Polski (Milwaukee)

Na jeziorze

Szeroko, przestrono, rozesłało się jezioro genezaretańskie. W różnowzore bramowania ustroiły je niwy złociste i zielone gaje palmowe, okrywające swem łonem białe mieszkania ludzkie. Nad wszystkiem rozpiął się błękitny namiot niebios, wspierający swe podnoże o krawędź gór skalnych, a wiązanie stropu swojego wieńczący promienną gwiazdą słońca. Blaski słoneczne odbijały się od gładkiej powierzchni wody i ubierały ją w barwy rozmaite: raz rozwijając na niej przędzę pozłocistą, to znów siejąc ametysty i opale, indziej zasię rozsypując płatki różane. Całe jezioro gorzało tym rozbłyskiem tęczowym — przebiegającym po zwełnionych czubkach fal ruchliwych — ciągle mieniącym się i rozpierzchującym w tysiącznych kierunkach.

W objęciach ciszy południowej usnęły rozkosznie i gaje i łąki i pola; usnęły i serca ludzkie, zmożone pracą. Była chwila powszechnego spoczynku. Rolnicy pousiadali pod kępkami drzew i posilali się strawą, przyniesioną przez białogłowy. Rybacy odłożyli sieci i przeliczali połów dzisiejszy. Na ponadbrzeżnym

piasku pokładły się półnagie chłopięta, igrając lśniącemi kamyczkami i skójkami, wymiatanemi przez wodę. Wszędy panował spokój, szczęście i zadowolenie.

Na środku jasnej topieli jakaś ciemna plamka wyróżniała się niby szczątek żużla w roztopionym kruszcu. Z ruchu jej powolnego wnosić można było, że to łódka, pędzona przez niezbyt skwapliwych wioślarzy. Trzech ich było. Przy sterze z przodu czółna przykucnął człowiek średniego wieku, krępy i barczysty, o twarzy smagłej i pomarszczonej, otoczonej szorstkim, szedziwym zarostem. Drugi był jeszcze w pierwszym rozkwicie krasy młodzieńczej; na barki spadały mu długie zwoje lśniących płowych włosów, przemykające się pasemkami po smukłej, zlekka ogorzałej szyi. Krzepkie, wpółobnażone ramiona dzielnie władały wiosłem, dodając żywości łódce, obciążonej obfitą zdobyczą rybacką.

Wzrok obu rybaków niekiedy tylko biegł ku kresowi jazdy — wybrzeżu; zresztą po większej części spoczywał na obliczu trzeciego męża, siedzącego na ławce pośrodku łodzi. Mąż ów liczył lat około trzydziestu; postać jego odznaczała się zadziwiającą urodą, którą pomnażał jeszcze wyraz łaskawości i dobrotliwości, rozlany we wszystkich jego rysach. Wzniósłszy

dłoń ku niebu, przemawiał z uroczystym spokojem i powagą do towarzyszy, słuchających go w skupieniu. Widać przykuwał ich urok przemawiającego i słodycz jego mowy, płynącej, niby miód, z ust jego różanych — przeto nie śpieszyli się nazbyt w żegludze, by jak najdłużej pozostawać pod władzą czaru onego.

— Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam — mówił do nich, — nie ten, który mówi: Panie, Panie! — wejdzie do królestwa niebieskiego, ani nie ten, kto posty zachowuje i jałmużnę rozdaje z dochodów swych, a w sercu swem pełen jest łupiestwa i łakomstwa. Albowiem Ojciec mój, który jest w niebiesiech, przegląda skrytość serc ludzkich i upodobał sobie tych przedewszystkiem, co zdążają do poznania prawdy w głębokiej pokorze myśli swoich...

Umilkł na chwilę i patrzał na młodszego z towarzyszy.

— Janie! — ozwał się po chwili — nad czem takeś się zamyślił?

Młodzieniec podniósł swe błękitne źrenice:

— Nauczycielu! — odrzekł — Otośmy ludzie prości i ubodzy i wszystko, cośmy mieli, oddaliśmy tobie. Wolno-ż nam tuszyć, że dasz nam poznanie prawd Swoich?

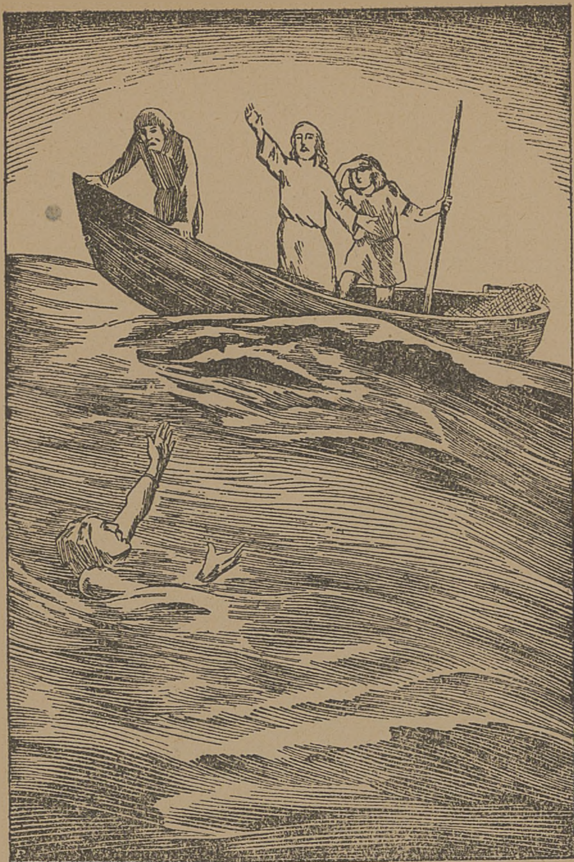
Jezus złożył mu rękę na jasnej głowie:

— Powiedziałem wam, że zapisane jest imię wasze w księdze niebios. I oto ty, Szymonie, opoką będziesz kościoła mego, a tobie zasię, synu Zabedeusza, danem będzie przeniknąć głębokie tajemnice sprawy bożej.

Jan znów popadł w zadumę i nawet opuścił wiosło, dzięki czemu czółno posuwało się ruchem ledwo dostrzegalnym, niesione prądem fal jeziorowych. Płynęli tak długo w milczeniu i w ciszy tej rozlegało się tylko pluskanie wody i wrzask mew w oddali. Nagle zaskrzypiała rękojeść steru i zabrzmiał przerażenia pełen głos Szymona:

— Przyśpieszmy biegu! co żywo! do wiosła!... Tam człowiek tonie!...

Jan ocknął się i zerwał z miejsca. Przysłonił ręką oczy i spojrzał w stronę, gdzie wskazywał sternik. Opodal stromego skalnego brzegu, gdzie rozlewała się topiel bezdenna, czarna, niedosiężona jeszcze dotąd ni razu przez najzuchwalszego nawet nurka, widniało ciało człowieka, zmagającego się w ostatecznym wysiłku z żarłoczną głębią; koło niego rozwierał się, niby zwierzęca paszczęka, lejek wiru wodnego, syczący i kipiący, niby dyszący radością z powodu nadarzonego żeru. Woda niosła nieszczęśliwego prosto w tę otchłań, gdzie go czekała śmierć nieubłagana.



Woda niosła nieszczęśliwego prosto w tę otchłań, gdzie go czekała śmierć nieubłagana

Człowiek ów, zagładzie przeznaczony, niewiadomo czy zdawał sobie sprawę z położenia swego. Wprawdzie od czasu do czasu widać było nad odmętem rozczochraną głowę jego, ale nie można było odgadnąć, czy otwarte usta wołały o pomoc, czy też pragnęły tchu zaczerpnąć do skołatanej piersi. Niekiedy podnosił nad powierzchnię tężejące już ramiona — byłże to bluźnierczy wyzew czy modlitwa pełna skruchy? Któż to wie?

Widok ów wstrząsnął patrzącym. Zamiast uchwycić za wiosło i silnem uderzeniem zwrócić łódkę ku tonącemu, załamał ręce w niepewności i żalu:

— Panie! — zakrzyknął — Ulituj się! Twoja łaska tu jedynie zdziałać coś może!

Jezus wstał z dziwnym wobec tej grozy spokojem i wzniósł dłonie nad wodą. I w tejże chwili łódka, jakby orlich skrzydeł dostała, pomknęła chyżo do roztoczy, która przez ten czas wygładziła się i wyrównała. W okamgnieniu zatrzymano się koło nieszczęśliwego. Szymon uchwycił go wpół i wciągnął na dno łódki. Człowiek ów ocalony nie był to mieszkaniec tych okolic, bo nietylko, że nie był znany żadnemu z wioślarzy, ale i same rysy twarzy jego, acz błotem i szuwarem zwalanej, świadczyły, że to przybysz z Egiptu. Potwierdzało ten domysł

i odzienie nieznajomego, krojem uczniów szkoły w Sais uszyte, oraz kolczyki w małżowinach usznych i bransolety, zdobiące jego ramiona. Właśnie opowiadano o takim Egipcjaninie, który w Jeruzalem u faryzeuszów pismo zgłębiał, niesyt wiedzy własnego kraju. Niewątpliwie był to ów mąż...

Poczęto go cucić i po pewnym czasie źrenice jego traciły stopniowo wyraz martwoty, a pierś poczęła głębiej oddychać. Niebawem mógł już podźwignąć się i usiąść. Niby przebudzony z ciężkiego snu rozglądał się z zadziwieniem i pewną nieśmiałością czy trwogą. Wzrok jego napotkał Jezusa, siedzącego obok i wpatrującego się weń dobrotliwem, pełnem współczucia i litości spojrzeniem.

— Ktoś ty zacz, człowiecze i skąd się wziąłem na tej łodzi? — zagadnął.

— Tonąłeś, synu, głęboko — brzmiała słodka odpowiedź, — i wiecznej śmierci byłbyś oddany niechybnie. Ale jam wiedział myśli twe i żal mi ciebie było, przeto wyrwałem cię, niby zbłąkaną owcę, mocom ciemności.

— Ktoś ty jest, który tak do mnie przemawiasz? — z przerażeniem zapytał topielec.

— Jam jest droga i prawda i żywot — odpowiedział łagodnie zapytany.

Na te słowa porwał się z miejsca mąż śmierci wydarty i wykrzyknął ze zgrozą i obłąkaniem:

— Kłamiesz, człowieku tajemniczy! Prawdy niema w świecie! Wszak długo napróżno szukałem jej w całej przyrodzie i w księgach. Napróżno przebiegałem świat cały, by ją odnaleźć alem z zabiegów moich wyniósł jedynie rozgoryczenie i przeświadczenie o własnej niemocy. Kłamstwem jest prawda, a w życiu naszem niema nic okrom kłamstwa i ułudy. Jest ono tylko jednem pasmem zawodów i udręki, a droga, przez nie idąca, wiedzie jeno ku rozpaczy, ku zmiażdżeniu i roztarganiu naszej istoty. Oto, gdzie mnie zawiodła: do samobójstwa, które przed chwilą usiłowałem popełnić!.... I jakże ty, człowieku, śmiesz mówić, żeś prawdą i żywotem? Powiedz mi, czy nie szydzisz ze mnie? Czy nie poto wydostałeś mnie z głębiny, by następnie cisnąć mnie w jeszcze gorszą otchłań rozpaczy i szaleństwa? Czyś ty nie uczynił tego z jakiejś złości przeciw mnie? Bo mnie się zdaje, żeś to ty jest upiorem mej męczarni — ty coś nazwał się imieniem przeklętej przeze mnie prawdy i przeklętego, ciężącego mi, żywota? Mów, błagam, zaklinam cię!....

Nic na to nie odpowiedział Jezus, jeno w kątach ócz zaświeciły Mu łzy...

Jezus zwrócił się do nich.

— Co myślicie o tym człowieku? — zapytał.

Milczeli, spoglądając z zakłopotaniem po sobie.

— Wiem — odrzekł za nich Mistrz — że rzucilibyście nań kamieniem potępienia, jako na bluźniercę i samobójcę. Ale powiadam wam, że większej łaski dostąpił mąż ów, aniżeli wszyscy uczeni w piśmie i sędziowie zakonu. Albowiem on, Boga nie znając, chciał go poznać i dojść do Niego usiłował... I to wam powiem, że przyjdzie czas, iż takim jak on poganom dana będzie prawda i żywot, któremi gardzi naród wybrany.

Rzekłszy to, obrócił się do młodego Egipcjanina, słuchającego z zapartym tchem słów jego i zapytał:

— Chcesz-li dojść do poznania prawdy?

— Chcę, chcę, panie! Jeżeli masz moc rozwiązania zagadnień świata, objaw mi prawdę! Ja, com liczył się między mędrców, głośnych swą wiedzą, będę dziś jako pacholę nieletnie słuchał wykładu Twojego. Panie, oświeć mię!

Chrystus powstał i złożył rękę na głowie klęczącego. Blaski słoneczne jakby rozjarzyły się więcej i rozczerwieniły — zdało się, jakby ociekać poczęły krwią po postaci stojącego

Chrystusa. Spojrzał nań Egipcjanin i ujrzał istotnie krew na twarzy Chrystusowej, zsiniałej i zbolałej — zupełnie niepodobnej do tej, jaką widział przed chwilą. Zdawało mu się, że ma przed sobą skazańca, męczennika.

— Panie, co to znaczy? — zapytał.

— To rozwiązanie wszystkich twoich dociekań. To jedyna prawda i żywot.

— Jakże to, panie? Co cię skłoniło, byś na takie pohańbienie siebie pozwolił?

— Miłość... — to jedno słowo, jasne i ciepłe, jako promień świtającego słońca, tknęło i ożywiło Egipcjanina. Podniósł oczy i obaczył przed sobą drogę świetlaną, promienną, uczuł w sobie pełnię życia. I w jednem tem słowie objał i zrozumiał treść świata, cel tak długo poszukiwany...

— Dzięki ci, o panie! — wyszeptał...

Łódka płynęła wolno, znacząc tęczową drogę na roztoczy, oblanej blaskiem złocistego słońca. Fale oddychały równo i głęboko, jak pierś człowieka, który kocha.

Nad Bajkałem, w sierpniu 1918 r.

Ostatnia choinka

Nad ziemią lecieli aniołowie, śpiewając: Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

Lecz ludzie nie słyszeli tej pieśni. W ich duszach nie było dobrej woli, więc nie było i pokoju. Inną pieśnią, złowrogą i bluźnierczą, huczał i jęczał padół ziemski... Ku czci szatana niszczyciela palił świat ogromną kainową ofiarę wojny; brat zabijał brata i krwi rodzonej nie szczędzono... Krew ta wołała w niebo klątwami rannych i jękami konających, a z wyciem i wrzaskiem szturmujących mieszał się huk armat, któremi mieszkaniec ziemi w swej pysze przedrzeźniał gromy niebios. Nie widziano gwiazdy zbawczej nad stajenką, w której się Mesjasz rodził; za gwiazdy swoje ludzkość ogłosiła brudne, nikczemne, samolubne hasła....

Nie słyszał świat błogiego zwiastowania anielskiego; pełna grozy i przestrachu była przyroda. Wcześniej w tym roku, niż po inne lata, odleciało precz drobne ptactwo, trwożne, z gniazd swych wypędzone. Zato wron i kruków większa, niż kiedykolwiek, była obfitość; jak żałobne wieńce i wstęgi raz wraz czarne ich

korowody zaścielały ziemię, śniegiem przysypaną, co jak grób pobielany chowała w swej głębi zwłok tysiące... I nietylko zwłoki chowała — bo i żyjący w niej się zagrzebywali, ryjąc szańce i rowy strzeleckie, niby dżdżownice, co pełzną w tę i drugą stronę... ślepo, bez oczu.... Podkopywano się w ten sposób pod cudze włości, zaorywano granice państw i krajów, a równocześnie zacierała się granica sprawiedliwości i bezprawia, grzebano ludzkie porywy i zapały, zakopywano w błocie godność człowieczą...

Nie było słychać śpiewania anielskiego — zato głośno rozlegał się płacz dziatwy, mordowanej przez herodowych siepaczy... Monarchowie, światem władnący, nie do szopki cichej śpieszyli i nie złoto i mirę nieśli w ofierze, ale orężem wydzierali sobie mienie, złoto krwią okupując... choć krew ludzka cenniejsza jest nad złoto....

A jednak byli ludzie, którym się śniło, że w tych bolach, jakie przechodziła ziemia, rodził się jakiś świat nowy, jakieś zbawienie ludzkości... jak ongi w noc betlejemską...

— — — — — — — —

Bór ciemny, z powodu zasp śnieżnych jeszcze mniej dostępny, niż kiedykolwiek, był przez dzień cały widownią krwawych zmagań

i zapasów. Gdzie dawniej zwierzęta dzikie przemieszkiwały, wdarł się człowiek i ze zwierzęcą zajadłością polował na współbliźnich swoich ludzi... Jak na wielkich, hucznych łowach, grzmiały gęsto strzały, a niby nagonka, z wrzawą dziką raz po razu zrywała się pędziła przed siebie linja tyraljerska... Nie pamiętała tak wspaniałego polowania puszcza głucha, choć żyjące w niej drzewa wiele już widziały wieków...

Dokoła polany, na której rozegrał się najważniejszy moment boju, ustawiły się półkręgiem odwieczne dęby i młodsze od nich sosny i jeszcze młodsze jedliny i leszczyny, stopniami, niby widzowie w teatrze, z zaciekawieniem i uwagą śledzący przebieg widowiska.... A gdy klekotały karabiny maszynowe, to drzewa klaskały odgłosem, jakby biły brawo... Gdy ludzie jęczeli i wyli z bólu, tedy cały las krzyczał z upojnego zachwytu i gromkiem echem opowiadał hen daleko swoje wrażenia... Gdy zaś, jak byk, bodący ziemię rogami, spadł na arenę ryczący pocisk, wtedy dawało się odczuć drżenie, następnie jakby oddech podziwu i naprężenia, a wreszcie szał entuzjazmu... czasem jakby jakieś syczenie niecierpliwości lub szyderstwa... Zda się, jakby i drzewa opanowane naraz zostały temiż namiętnościami, co ludzie....



Pierwszy spostrzegł tę gwiazdkę młody żołnierzyk, który stojąc na wedecie....

Wkońcu przesyt jakiś ogarnął niebo i ziemię, ludzi i przyrodę... Zmętniał świat w szarym pomroczu wieczora, tłumił się i cichnął zgiełk i zamęt bitwy... Drzewa w mgle posępniały, a tężały i krzepły od przypierającego mrozu; ludzie albo posnęli na wieki, albo zaszyli się gdzieś w czarnej gęstwinie. Polana pozostała martwa i głucha, gładka i biała, jak stół, czekający na biesiadę duchów... Ci z walczących, którzy zostali panami placu, umocnili swe stanowisko, rozstawiając na krawędzi leśnej, wzdłuż polany, silne czaty; linja bojowa rozsnuła się gdzieś w zakątkach gąszczy, cicho i niewidzialnie, jak nić pajęcza.... i jak nić pajęcza, czyhała zdradziecko na zdobycz.

Noc jednak nie była bardzo ciemna. Zwolna mgła w szron się ścięła i osiadła na ziemi; powietrze, przez dzień skłębione dymem wystrzałów, przetarło się i nabrało przejrzystości tafli lodowej... Było widać niebo czyste i pogodne, na którem pojawiały się gwiazdy... jakby i tam noc zaciągała swoje placówki. Pierwszą z nich była gwiazdka, która tylko raz do roku błyska na niebie, wskutek czego nie zdołali jej zaobserwować uczeni astronomowie — nazywa się zaś gwiazdą wigilji.

Pierwszy spostrzegł tę gwiazdkę młody żołnierzyk, który stojąc na wedecie miał baczyć

na nieprzyjaciela... zamiast wrogów jednak powitał dziś dawnego swego przyjaciela, zwiastuna Bożych Narodzin. Bo gwiazdka ta, świecąca w dniu przyjścia niebiańskiego Pacholęcia, umiłowała najwięcej serca młodociane, dziecięce, darząc je szczęściem i radością... A młody żołnierzyk niezbyt dawno opuścił dom rodzicielski, porzucając suchą naukę szkolną dla służby płomiennym hasłom, wykołysanym od powicia; nie tak to dawno poszedł na przedwczesne trudy za najwznioślejszą mistrzynią serc dziecięcych — wiarą.

Jeszcze rok temu jechał sankami z miasta powiatowego do domu, a małe serduszko pod granatowym mundurkiem biło mu uciechą z powodu feryj świątecznych, a jednocześnie obawą nagany od rodziców za liche postępy w nauce... Pamięta jeszcze łzy matki, która, łamiąc się z nim opłatkiem, mówiła:

— Ignasiu, moje dziecię, nie rób mi już więcej przykrości!

Kochana matka!... jakże go bolały jej łzy!... Dlatego też tak pokryjomu, bez pożegnania, uciekł z domu, by łez tych nie widzieć...

Dziś ona pewno znów tam płacze — i wyczekuje syna... Żeby choć na wilję przyjechał!... Stół czeka, śnieżnym obrusem nakryty... a jedno nakrycie dla niego... Matka raz po raz przez

okno wygląda, czy w podwórzu nie widać powracającego syna i czy na niebie nie widać złotej, gwiazdki — tej samej, na którą on w tej chwili spoziera w tem pustkowiu.... A co pewien czas podchodzi ku drzwiom salonu i patrzy, czy domknięte — bo tam w salonie, w ciemnym kątku, ukrywa się w tajemnicy choinka, świecidełkami obwieszona i, jak dąb Alibaby, strzegąca przeróżnych podarków... Niby to aniołek przynosi to wszystko grzecznym dzieciom.... choć wiadomo, że zwykle i niegrzeczne dzieci nie bywają też pokrzywdzone w rozdawnictwie prezentów, a choinkę i zabawki sprawia nikt inny, tylko sama matka... Ale czyż matka nie jest aniołem opiekuńczym swego dziecka?

Gwiazdka na niebie mrugała niby czyjaś źrenica, do płaczu skłonna... W boru coś szeptało i wzdychało... Kędyś z oddali odzywały się od czasu do czasu przytłumione głosy strzałów niby jakieś przybijanie młotkiem lub pukanie do drzwi... Niejedna dusza dzisiaj pukała do bramy niebios...

W domu tam pewno wszyscy zasiedli do wilji... matka nasłuchuje każdego odgłosu... czeka, czy kto do drzwi nie zapuka... nie pozdrowi...

Wsłuchał się w ciszę nocną Ignaś, wsparty na karabinie, prawie, że większym od niego.

Kiedy zaciągnął się do wojska, śmiali się z niego nowi koledzy, że chyba będzie na karabinie jeździł, jak na drewnianym koniku, bo utrzymać go na ramieniu ani w rękach nie potrafi... Pokazał wszakże, że nietylko go utrzyma, ale potrafi też skutecznie się z nim obchodzić... To też dowódca kompanji pozwolił mu chodzić na najniebezpieczniejsze patrole i ufał mu wszędzie jak staremu żołnierzowi, choć miał Ignaś mało co więcej nad połowę lat rekruta poborowego... I dziś, pomimo zmęczenia, służbę swą pełnił sumiennie i czujnie, „jak stary"... Ach! gdyby go tu na chwilę widzieć mogła matka, napróżno w domu wyczekująca!... żeby widziała, jak dzielnie stoi na straży oddziału swego i swoich ideałów!... Zniósłby i te łzy jej, bo wiedziałby, że to łzy dumy.... I on sam miał łzy w oczach, chociaż nie było mu straszno... niczego się nie bał młody żołnierzyk, jeno ogarnęła go tęskność taka ogromna...

Jodełka, na skraju lasu rosnąca, przy której stała wedeta, upuściła wilgotny płat śniegu, który dotknął policzka chłopca, niby łza matczyna... Gałąź poruszona poczęła się chwiać, jakby dłoń, rzucająca ostatnie pożegnalne skinienia.

Nad polaną wypłynął srebrny księżyc, oblewając wszystko łagodnem światłem. Wtem stał

się jakby cud: przed oczyma chłopca nagle jodełka zalśniła, jak choinka wigilijna, mnóstwem świeczek rozjarzona... Śnieg biały, puszysty, roziskrzył się tysiącem tęczowych iskierek i promyczków, niby pył brylantowy, a na każdej gałązce inne przybierający kształty: to obwisał, jak rąbek tkaniny, to w krążek się uścielał jak gniazdko ptasie, to znów wysterczał jak figurka z cukru... Gdzieindziej zaś w festony i łańcuchy migotliwe się wiązał lub rozsnuwał się, niczem subtelne i drgające przędziwa „włosów anielskich" — zaś wierzchołek jodełki rozbłyskiwał lodową iglicą, z której, jak mydlane kule ze słomki, wytryskiwały różnobarwne gwiazdeczki.

Jakiż to anioł przyniósł tutaj tę choinkę? Czy przyniósł ją na prośbę matki?...

Tam w domu teraz brzmi kolenda. Jarzą się świeczki i twarze rozjaśniają się wśród śpiewu — choć mama pewno wciąż smutna... może nawet smutniejsza, niż kiedykolwiek...

Przylecieli tak cudni anieli...
Cali w bieli — złote piórka mieli...
Przynieśli nam wesołą nowinę...

Ach! jak ta matka łzawo się modli o wesołą nowinę... o synu swym jedynaku!... A mały Ignaś, syn jej ukochany, porzucił ją i nawet znaku życia o sobie nie daje... jakby o nią nie

dbał, o niej nie myślał... Inna myśl go zaprząta, innej wesołej nowiny wyczekuje... Dla tej to nowiny wesołej zaciągnął się do szeregów, w jej imię dobrowolnie znosił trudy przedwczesne... Kiedyż usłyszy i on wesołą nowinę — doczeka spełnienia swych ideałów i tęsknych nadziei, piastowanych w duszy?...

Na to pytanie odpowiadała chłopcu jedynie cisza nocy zimowej... Widział tylko niewielką bladoszarą przestrzeń przed sobą...

Skądciś tam, z oddali, nadbiegła kula zbłąkana, niewiedzieć przez kogo wysłana, niewidoczna i lotna jak duch... Ze świstem przecięła powietrze i, jak pszczoła w kwiecie, pogrążyła się w maluchnem sercu chłopięcia: żądło miała śmiertelne... Zachwiał się młody Ignaś, upadł na zimny śnieg... Zimna śmierć schyliła się nad nim, macierzyńską dłoń na nim położyła — i uśpiła go na wieki...

Sen w wigilję ma znaczenie wieszcze, bo co się komu w noc tę śni, to niechybnie się sprawdzi... Co śniło się w noc Bożych Narodzin małemu żołnierzykowi, który, choć usnął na posterunku, jednak do samego końca nie zaniedbał powinności — dobrowolnie na się przyjętej?...

Oto hen pod popielatem niebem zimowem leciał, jako jeden z tych aniołów, co śpiewali,



...Zimna śmierć uśpiła go na wieki...

przygrywając na złotej Lutni gwiaździstej: Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli... U ramion miał śnieżne skrzydła, a na czole gwiazdę promienną — ukochaną przez siebie gwiazdę wigilji.

— — — — — — — —

Po północy przyszedł do kompanji rozkaz odwrotu — więc też zwinięto i placówkę... Pocichu, niepostrzeżenie, szeptem powtarzając rozkazy, znikli wszyscy w gęstwinie... Ale już nie wzięli ze sobą małego Ignasia, który został na polanie... zimny i cichy... i blady... jak ta noc zimowa...

Z gąszczy, jak złowrogie widma, wypełzły wilki, węsząc i tropiąc coś w śniegu.... Wreszcie po śladach doszły do stanowiska dawnej placówki, gdzie leżały, pod samotną jodełką, zwłoki żołnierzyka... Rozległo się długie przeraźliwe wycie, podobne do żałosnego zawodzącego płaczu...

Mówią, że w noc wigilji nawet zwierzęta zdolne są przemawiać ludzką mową... Lecz wilki nie opowiedziały nikomu, co się w noc wigilijną stało ze zwłokami Ignasia...

I nie wiedziała matka, choć tak płakała, jakby jej wszystko było wiadomo.

Y. Reymont sentimental dose

Rozbójnik Dyzma

Noc była ciemna i burzliwa. Na czarnym stropie niebios nie widniała ni jedna gwiazdka, jeno przewłóczyły się obłoki ponure, brzemieniem swem grożące ziemi. Mrok panujący wszędy, zgęszczały jeszcze strugi rzęsistego deszczu, spływającego nawałą na przerażony bór — ulewa szemrała wśród konarów, następnie zaś z pluskiem upadała na ziemię rozpryskując się i tworząc grząskie kałuże. Jękliwy zgiełk jej pomnażała w dwójnasób tłuszcza wichrów, targających gałęzie drzew i rozmiatających sterty uwiędłego łoniej liścia; gdzieniegdzie pod ich naporem kruszyły się pnie nadpróchniałe, waląc się z łomotem na ziemię.

Zaprawdę była to niedogodna noc do podróży. Pątnik, którybу się w drogę wybrał, niechybnie lękać się musiał okropności burzy, a mimo śmiałości nie zdołałby przebrnąć kniei, gdzie droga, po większej części zalana wodą lub zawalona łomem, trudna była do odszukania w nieprzeniknionej ciemności. Za jedyny drogowskaz służyć bowiem mogły chyba jaskrawe błyskawice, przeszywające od czasu do czasu

tę gęstwę, by w okamgnieniu w jeszcze czarniejszej świat pogrążyć pomroce.

Jacyż to śmiałkowie nie trwożą się rozdzierać tę zasłonę nocy, jaką Bóg okrył świat cały? Czy to wojownicy, co po tysiąckroć stając oko w oko w zapasy ze śmiercią, nie znają, co strach i trwoga? Czy może kupcy, których dziś jakieś naglące sprawy pieniężne przymusiły nawet życie własne narażać dla pozyskania upragnionego zarobku? Czy też olbrzymy, puszcz tych odwiecznych mieszkańce, ze snu ocknięci, zuchwałą swą postawą odegnać usiłują napastnika — ogromnego upiora wichury?

Nie!... Przypatrzmy się im, bo oto ognista strzała gromu, zarysowawszy ścianę mroczni, rozjaśniła smugę prześwietli leśnej, po której posuwają się podróżni. Troje ich było: starzec zgrzybiały za uzdzienicę wiódł osiołka, na grzbiecie zaś tego wierzchowca siedziała młoda kobieta, tuląca do piersi nieletnie pacholę — uśpione.

Szczęśliwy wieku młodzieńczy! Tylko ty posiadasz ów skarb nieoceniony i nieprzepłacony — sen cichy, niezakłócony, spokojny! Nad tobą zawisło tyle niebezpieczeństw, ale ty nie zdajesz sobie sprawy nawet z tego. Śnisz i uśmiechasz się przez sen...

O ile jednak dziecię nie przejmowało się tem, co je otaczało, inne były wszelakoż myśli starca. Ten uświadamiał sobie całą grozę położenia i na twarzy jego przebijał się niepokój.

— Marjo! — rzekł nakoniec. — Nie masz-li i ty tego przekonania, żeśmy pobłądzili? Albowiem napróżno szukam drogi naszej, i dopatrzeć się jej nie mogę. Uchowaj Boże, byśmy odnaleźć jej nie mieli. Czeka nas wtedy nowa udręka, kto wie... nawet może zguba. Boję się nie tyle o nas, ile o dziecię nasze, aby snać nie spotkała go przygoda. Ono takie wątłe, zasię noc dżdżysta i chłodna, a podróż utrudziła je niewątpliwie.

— Nie, Józefie! — odparła młodociana kobieta — obaw twoich nie podzielam. Żebyś wiedział, jak spokojnie śpi syn mój, jakby zgoła nie słyszał ryku zawiei i plusku wody. Na piersi złożył mi główkę... musi mieć sny błogie. Zaiste nie grozi nam niebezpieczeństwo, skoro on tak spokojny... Aż się lękam go budzić.... A możeby i zbudzić? Onby pewno wskazał nam drogę w odludnem pustkowiu.

Lecz starzec, wytężywszy wzrok, zawołał radośnie:

— Nie, nie budź! Zdaje się, że spostrzegam światło... Pośpieszmy!... Tam się przytulim.

Osiołek, acz utrudzon całonocnym pochodem, podwoił teraz krok, czując bliskość siedliska ludzkiego. Światło powiększało się w miarę, jak podchodzili ku niemu; wkrótce zatrzymano się przed kurną lepianką, z krąglaków stawianą. Józef zakołatał do wrótni.

Na odgłos stukania wybiegła z izby kobieta wieku średniego, oświecona odblaskiem ogniska. Obaczywszy przybyszów, zapytała:

— Ktoście zacz i czego wam potrzeba?

— Jesteśmy podróżni... zbłądziliśmy w kniei i szukamy tu przytułku przed nocą i słotą.

— Niedobre miejsce wybieracie na nocleg — odrzekła z dziwnem brzmieniem w głosie kobieta — ale wejdźcie do wnętrza i odetchnijcie po uciążliwym pochodzie.

To mówiąc, wprowadziła nowoprzybyłych do izby, szczupłej i zadymionej, lecz zastawionej suto na posadzce i stołach sprzętami częstokroć nader cennemi, ściany zaś poobwieszane były bronią.

Przybyszów przeszło na wstępie lekkie mrowie, rychło jednak ochłonęli z pierwszego wrażenia — i już bez trwogi, a raczej z ciekawością poczęli przyglądać się onej szczególnej zastawie. Wśród tego Marja, ułożywszy śpiące Dzieciątko na ławie, osłoniła je rąbkiem szaty

swej, aby go nie raziła jaskrawość ognia. Potem zasię, grzejąc się przy płomieniu, wiedli z sobą cichą pogawędkę, podczas gdy gospodyni krzątała się koło wieczerzy; od czasu do czasu poruszała nogą kołyskę, w której spało małe niemowlę. Wzrok jej wyrażał żal i niepokój.

Naraz, gdy dłuższy czas nikt nie zwracał uwagi na kołyskę, ozwał się z niej płacz niemowlęcy, dźwięczący skargą i niejako bolesnym wyrzutem, niby przyzywając matkę, która była wyszła za dźwierze. Kwilenie to stawało się coraz żałośliwsze i przejmujące do szpiku kości. Nie mogąc widocznie bez współczucia słuchać tego narzekania, rzuciła się ku kołysce Marja, by utulić dziecię obcej kobiety. W tejże jednak chwili weszła do izby matka niemowlęcia i zagrodziła jej drogę.

— Nie bierz go na ręce! — zawołała — syn mój trędowaty!...

Zaskoczona słowy temi, Marja stanęła w osłupieniu. Krzyk kobiety zbudził jednak i syna Marji — i ten wyciągnął ręce ku matce. Wzięła go na ramiona i przytuliła dobrotliwie do piersi. On wszakże począł się wyrywać z jej objęć ku kołysce swego płaczącego rówieśnika. Pomimo wzbraniania się gospodyni, Marja przyniosła dziecię swe do kolebki trędowatego dziecięcia.



Marja przyniosła dziecię swe do kolebki
trędowatego dziecięcia

— Wiem-ci ja, co boleść matczyna, — mówiła — sama chronić muszę dziecię swoje przed srogością burzy i sroższą od niej złością ludzką. Patrz, Jezu — (zwróciła się do syna) — ta kobieta, co nam tu udzieliła schronienia i gościny, matką jest, jako ja, a syn jej nawiedzon jest chorobą straszną. Okaż mu litość swoją... Ty, który matkę i świat cały darzysz miłością.

Jezus podniósł ręce nad głową trędowatego, niby błogosławił, a potem pocałował w sam środek ropiącego się czoła.

I — o dziwo! — wrzodami pokryte ciało dziecka wypiękniało nagle; twarz, trupim wyglądem dotąd odstraszająca, nabrała rumieńców i pełności; członki, dotąd nieruchome i powykręcane, ożywiły się, odzyskując dawną gibkość; w miejsce rzewnego kwilenia rozległ się śmiech i szczebiot radosny. Zdało się, że w okamgnieniu wiosna zastąpiła surową zimę, rozkwitła różami, rozdzwoniła się śpiewem ptaszęcym. Cała chata napełniła się weselem.

Właścicielka chaty padła do stóp przybyszom:

— Witajcie! niebios zesłańcy! — wykrzyknęła w uniesieniu — oto wszystko, cokolwiek posiadam, oddaję na wasze usługi. Zaprawdę, niegodna jest chata moja, by w nią wstąpili tacy goście. Jestto bowiem przybytek zbrodni i prze-

stępstwa — mój mąż i ja zbójeckiem paramy się rzemiosłem. Bądźcie, o bądźcie nam litościwi! — i wybuchnęła rzewnem, pełnem skruchy szlochaniem.

Marja uprzejmie podjęła ją z ziemi, a syn Marji złożył kającej się niewieście łaskawą rękę na czole. Była chwila ciszy — ciszy, podobnej do gędźby zastępów anielskich. Łkanie deszczu, westchnienia wiatru tłumiły się wokół chaty, wtórując onej czarownej pieśni zachwytu. Odczuć można było obecność Boga...

Nagle znów ryknęła zawierucha, a do izby wpadł wichr rozhukany. Wszedł mąż olbrzymiego wzrostu, o wilczym wyglądzie i z wilczem spojrzeniem w źrenicy. Na widok gości poruszył groźnie brwiami.

— Kto zacz ci ludzie i czego chcą? — wyszło z ust jego mrukliwe zapytanie.

Ale kobieta rzuciła mu się na szyję, obezwładniając pięść, gotującą się już do zamachu.

— Mężu! — zawołała — nie czyń nic złego tym ludziom. Niebo ich zesłało, by skłonić nas do poprawy rozbójniczego życia. Patrz! Oto syn ozdrowiał i poznać go nie zdołasz. Oni to cud ten uczynili!

Zbójca, padłszy na kolana, z sercem skruszonem i ze łzą w oku spoglądał to na przycho-

dniów, to na uśmiechające się dziecię. Nakoniec począł bić się w piersi i wołać:

— Tak! jam człowiek grzeszny i wiele win ciąży na mnie! Ściany mej siedziby ozdobione są dobytkiem ludzi sprawiedliwych, ograbionych przeze mnie i krwawo zgładzonych! Bóg dawno powinien był mnie nawiedzić swą pomstą, a tymczasem!... mój syn!... i ja nieszczęsny!...

I tarzał się u stóp Boskiego Nawiedziciela spokorniały, kający się przestępca. Jękom jego wtórowała wichura, zawodząca przeraźliwie po rozłogach.

Stopniowo na dworze poczęła się uspokajać nawałnica, a w sercu człowieka począł się rodzić spokój, nieznany mu dotychczas...

Przez szczeliny chaty wkradł się złoty dzień. Rozproszyła się noc, cudowna noc przebaczenia...

Przybysze pojechali w dalszą drogę i więcej już słychu nie było o nadziemsich zjawieńcach...

Od tego dnia upłynęło lat trzydzieści.

Nawrócony zbrodniarz i jego żona zmarli przez ten czas. Syn, pozostawiony bez ich opieki, wałęsał się po lasach, a popędliwością i chciwością złota wiedziony, poszedł w dawne ślady rodzica. Niebawem imię Dyzmy stało się postrachem całej okolicy i trwogą przejmowało przejezdnych. Nikt nie mógł się bezkarnie za-

puścić w rubieże ostępu, by się z nich wydobyc z życiem i mieniem. Dyzma zjawiał się jak grom, szybko, i jak żbik, znienacka, a drwiąc ze zbrojnych oddziałów, pokonywał najsilniejszych i najsprawniejszych zapaśników. Napróżno słano przeciw niemu zastępy wojowników — ani jeden z nich cało nie wrócił. Zbójca zdawał się niezwyciężony, niby jakaś siła nadludzka.

Nakoniec namiestnik kraju, Piłat Pontyjski, którego doszły słuchy o sprawkach niebezpiecznego opryszka, urządził nań obławę w dwustu żelaznych żołnierzy rzymskich. Tym udało się go pojmać i zaprowadzić przed namiestnika. Ów skazał go na śmierć krzyżową.

Stracenie wyznaczono na przeddzień święta przaśników. Wespół tracić miano jeszcze dwóch innych złoczyńców; wszystkich trzech prowadzono na pagór skalny, za miastem Jeruzalem, zwany górą Trupiej głowy.

Czas był skwarny, a droga po szorstkiej opoce nader przewlekła i uciążliwa. Złoczyńca, przytłoczony brzemieniem dźwiganego krzyża, kroczył powoli, potykając się często lub słaniając z umęczenia, wznosił atoli hardo głowę i prostował się, by go snać nie posądzono, iż lęka się śmierci. Z uśmiechem wzgardy spoglądał na życie, budzące się w świecie całym za nadej-

ściem wiosny. Wszak i jego życie wiosną niemal jeszcze — dopiero lat trzydzieści kilka liczył sobie skazaniec... Za cóż z taką obojętnością, wesołością niemal, wita zbliżający się kres — chłodną, posępną śmierć?...

Nie dziw — przecie tylekroć stawał w zapasy z tą śmiercią, tylekroć był jej świadkiem lub sprawcą; nie była mu więc obcą i przyjmował ją, jako dawną znajomą, nie przygotowując się zgoła na jej spotkanie. Cóż bowiem niosła mu niespodzianego lub niepokojącego? Czy martwić się zbliżaniem drugiego? A może i nic „tam" nie będzie, jakaś nicość, rozproszenie istoty? Przychodziły mu takie myśli, ale mimo uszu je puszczał, był obojętny i spokojny. Wszystko, co go otaczało, wydawało mu się nawet spojrzenia niegodne, ogromnie śmieszne i niedorzeczne; nie wiedział prawie, czego od niego chcą ci ludzie, tak słabi zazwyczaj, a dziś tak zuchwali wobec pokonanego.

Po obu stronach ulicy tłoczyła się ciżba narodu, zgromadzonego w stolicy z powodu nadchodzącej uroczystości. Wszyscy z ciekawością patrzeli na skazańców, odprowadzając ich wzrokiem lub krokami. Na twarzach wielu malowała się zgroza i odraza, na innych zaś litość i współczucie. Często w tłumie odzywały się jęki i szlochania.

Największy tłok był dokoła pierwszego ze straceńców; był to mąż wieku równego Dyzmie, ale — większą widocznie znękany katuszą — więcej się chylił ku ziemi. Krzyż przygniatał mu barki i pętał stopy, a kilkakroć nawet o ziemię go obalił. Mimo to ów męczennik niósł brzemię swe z taką godnością, jakby cały świat na krzyżu tym się wspierał. Choć twarz miał zwalaną od pyłu i potu, a obrzękłą i posiniałą od ran i razów, to jednak czarująca uroda jego rysów przykuwała oczy pospólstwa.

Pociągnięty powszechnem zaciekawieniem, zatrzymał Dyzma wzrok na współtowarzyszu. I dziwo! w duszę jego, tego zatwardziałego złoczyńcy wstępować poczęły nieznane mu dotąd uczucia. Zadrgała w nim litość. Człowiek ten poruszył w nim serce — po raz pierwszy w życiu.... On, który już zgóry śmierci był przeznaczony i którego raczej dobić należało, niż żałować. I cóż go łączyło (myślał Dyzma) z tym człowiekiem, że on właśnie stanowił dlań wyjątek z pośród tych, których li tylko za bydło rzeźnicze uważał? Nie umiał sobie tego wytłumaczyć... Wiedział jedynie, że mąż ów jest mu oddawna znajomy, niby zażyły druh jego dzieciństwa — atoli, gdzie go widział i wśród jakich okoliczności, nie mógł sobie przypomnieć. Bił się z myślami, chcąc sobie rzecz

całą uświadomić, z drugiej zaś strony chcąc przemóc w sobie to niezwykłe i tak z nim sprzeczne uczucie litości i czci dla obcego, a przytem sponiewieranego człowieka... Atoli te uczucia właśnie nad nim przemagały.

Tymczasem, w miarę zbliżania się na miejsce kaźni, wzrastała wśród motłochu wrzawa coraz to większa. Dały się wyróżnić jakby dwa stronnictwa.

Jedni mieli na ustach złorzeczenia i szyderstwa:

— Fałszywy prorok! niedoszły król! cudotwórca! Galilejczyk! Oto ten, co bluźnił pismu i Jehowie! Niech go aniołowie z krzyża zdejmą!

Te i podobne wyzwiska pochodziły przeważnie od uczonych w piśmie i świątników przybytku jerozolimskiego. Podjudzana przez nich hałastra usiłowała rzucić się z zaciśniętemi pięściami na skazańca i jedynie zbrojna postawa straży piłatowej trzymała ich w pewnej odległości.

Natomiast gdzieindziej gromadka białogłów lub dziatwy, niekiedy i mężczyzn, przyklękała na drodze, rozdzierając z żalu szaty lub bijąc się w piersi i wołając:

— Jezusie, synu Boży, zlituj się nad nami!

Mąż zatrzymywał się od czasu do czasu, o ile mu pozwolono, i obdarzał wszystkich łaskawem spojrzeniem; niekiedy złożył dłoń na kędzierzawej główce któregoś z chłopiąt, to znów uścisnął dłoń starcowi, a płaczącym niewiastom rzucał słowa pocieszenia.

Dyzmę zastanowił ów widok niezwykły: nie mógł pojąć, czemu taki zwykły śmiertelnik w najokropniejszem poniżeniu budził tyle zajęcia wśród tłuszczy, nawykłej już do krwawych widowisk, w których broczyły krwią największe znakomitości kraju. Głosy przekleństw i narzekania uderzały o jego ucho i rozeznać ich nie umiał. Całe to zajście wraz z zachodzącym w duszy jego przewrotem — był to dla niego zbiór jakichś tajemnic, niedocieczonych zagadek. Nie usiłował ich rozwiązać; zdawało mu się, że jest to wynik nieugiętego jakiegoś przeznaczenia, którego wszędzie zwykł był się dopatrywać i w które tylko jedynie wierzył.

Około południa stanęli na szczycie wzgórza. Stanowił on nagą skalistą płaszczyznę, zrzadka przyodzianą w kępki zeschłych macierzanek lub skarłowaciałych oliwek. Roztaczał się stąd widok rozległy. Stolica iskrzyła się w blaskach słonecznych i marzyła cicho o świetności swej wiekowej. Hen daleko, aż po pałac

namiestnika widać było ciągnące ludu mrowie. Zdało się, że co żyło w mieście i w Judei poruszyło się w oczekiwaniu chwili jakiejś doniosłej, by być widzami jakiejś wielkiej, ważnej, wielce ich obchodzącej sprawy...

cf. Le Procurateur de Judée, par A. France.

Dyzma powlókł oczyma po okolicy i po otaczających go ludziach. Na wszystko to ostatni raz już spozierał; pewno chciał wyryć to sobie w pamięci — raz na zawsze.

Wśród tego oczy jego spoczęły i na zagadkowym skazańcu. Otaczali go szeregowi zastępu pretorjańskiego, zdzierali zeń szaty, bijąc go przytem dzidami i harapami po głowie i plecach. Jeden z katów zadał mu cios tak dotkliwie, że nieszczęsny upadł na ziemię, krwią się zalewając.

Dyzma zawrzał oburzeniem, a razem ze współczuciem zbudziła się w nim jakaś nadprzyrodzona siła. Zerwał pęta, rozepchnął osłupiałych i nic nie przeczuwających strażników, poczem dobiegłszy do omdlałego podniósł go z ziemi i gąbką octową zwilżył mu spiekłe wargi. Gdy był tem zajęty i gdy z dziwnem przejęciem wpatrywał się w zbolałą a mimo to jasną twarz nieznajomego, otoczyli go znów żołnierze i skrępowali. Nie opierał się i nie starał się uciekać, jeno oczy i myśl przykuł do nieszczę-

cf. the climax of Ben-Hur



...z dziwnem przejęciem wpatrywał się w zbolałą twarz. .

śliwego, który właśnie otworzył powieki, tak iż wzrok jego zetknął się ze wzrokiem Dyzmy. Dyzma nie rozumiał co się z nim dzieje. Czuł jakąś radość i błogość; zdawało mu się, że jest jeszcze niewinnem dziecięciem, na które patrzy z miłością i przywiązaniem kochająca matka. W sercu jego zakipiało pełno myśli i popędów, dawno już wystygłych... Ów zatwardziały złoczyńca począł płakać jak dziecię.

W stanie takim nie odczuwał nawet jak zdarto zeń odzienie i ostremi gwoźdźmi przybijano go do drzewa sromoty. Bol dał mu się we znaki dopiero wtedy, gdy podniesiono krzyż wgórę. Wówczas przejęły go targające kurcze, iż począł wić się i szamotać a na usta cisnęły się już wyrazy bluźniercze. Jednak odchyliwszy wbok oblicze zetknął się znowu z łagodnem i słodkiem wejrzeniem towarzysza męczarni. I słyszał jak mąż ów przemawiał do niewiasty i młodzieńca, stojących pod krzyżem i płaczących. Słowa to były pocieszenia i ufności w miłosierdzie Boże, a głos przemawiającego był tak prosty i szczery, jaki słyszy się tylko z ust ludzi, brzydzących się kłamstwem i zbrodnią. Dyzmie przemknęło się przez myśl:

— Niepodobna, by mąż ten miał być zbrodniarzem. On sprawiedliwy i cierpi bez winy...

Ale dlaczego cierpi? Dlaczego? Za co go skazano?

Zaświtała mu myśl w głowie:

— Pewno dlatego, żem ja wiele przewinił... pewno za mnie pokutuje i za tych wszystkich, którzy poniżej wkrąg tu stoją a pełni są obłudy, grzechu i podłości... Bo czemże się różnią oni, którzy niewinnego zabijają, ode mnie... zbójcy? A on im płaci za to miłością i przebaczeniem. Któż on jest, iż daje przebaczenie... iż ułaskawia zbrodniarzy?... Możniejszy on-ci być musi od pretora, który mnie pojmał i skazał... Bo ja czuję i mam niezbite przekonanie, że on ma władzę przebaczać..., ale czy zechce mnie przebaczyć?...

I w serce zbójcy wstępować poczęła skrucha; teraz uświadomił sobie całą nikczemność swego życia i zazdrościć począł pięknego życia współukrzyżowanemu.

Tymczasem wśród tłuszczy rozlegały się wciąż śmiechy i naigrawania, a często i przekleństwa. Dołączył się do tych urągowisk i ów skazaniec, co wisiał po prawej stronie. Nie mógł zdzierżeć Dyzma, a z ust wyrwała mu się przygana:

— Przecz i ty, nikczemniku, szydzisz z męża cnotliwego? Ażali nie wiesz, że on bez winy

to ponosi, na co myśmy i ci oto wszyscy zasłużyli przez złość swoją?

I zwrócił się do zelżonego, mówiąc z pokorą wielką:

— Panie! nie pamiętaj występków moich i miej na mnie wzgląd, gdy wnijdziesz do królestwa Swego... Albowiem ja wierzę, żeś Ty jest Bóg i Sędzia nasz!

A w zamian za to doszła do uszu jego błoga odpowiedź, niby pieśń rozkosznie dzwoniąca:

— Zaprawdę, jeszcze dziś będziesz ze mną w raju!

I jako dalszy ciąg pieśni tej zabrzmiały w duszy nawróconego rozbójnika dźwięki przemiłe i pokrzepiające. Zdawało mu się, że widzi orszaki duchów czystych, niosących pienie ponad zawoje chmur, ozłoconych przedzachodniem słońcem. Na czele tego orszaku widział dwa cienie znajome, przyzywające go dłońmi i wołające:

— Synu nasz!...

Wtedy przypomniał sobie ojca i matkę, przypomniał opowieść ich, w dzieciństwie zasłyszaną, o niebiańskich gościach i cudownem swem uleczeniu... Zrozumiał wtenczas, kim był ów mąż niewinnie Ukrzyżowany...

...I ocknął się z widzeń i spojrzał na Pana swego. Lecz on już wydał ostatnie tchnienie —

głowę zwiesił na ramię i pozostał tak nieruchomy...

W tejże chwili wstrzęsła się ziemia cała, niby ze strachu i boleści. Na cały okrąg świata spadła nawała duszącej, okropnej ciemności...

Ale jasno już było i błogo w duszy Dyzmy. Nie czuła bolów, niepokoju i trwogi...

Oto wchodziła do raju...

Irkuck 1918.

Sprawiedliwemu Sędziemu moich niemowlęcych utworów Panu Sz. Deptule wpisuje się na pamiątkę

5 XI 28. [illegible]

25,-